

Muzyce

Świętobliwy oleodruk

O SOBISZCIE nie mam wątpliwości, że głębszych walorów w najistotniejszym sensie artystycznym brak pompacyjnym błyskotliwym oratoriom szwajcarskiego na paryskim chlebie wykarmionego kompozytora, **Artura Honeggera** (1892—1955), a wśród nich i jego „**Joannie d'Arc na stosie**”, wykonanej właśnie — i to aż przez 3 wieczory — na estradzie **Filharmonii Narodowej** pod batutą występującego gościnnie, **Witolda Krzemińskiego**. Honegger nie był jednak pozbawiony talentu. Udowodnił to choćby w swych utworach kameralnych. Miał jednak nierównie więcej sprytu. A zresztą... musiał go mieć. W swej, już po wojnie opublikowanej książce „**Jestem kompozytorem**” pisał, że dziś na Zachodzie twórca muzyczny występuje w roli dosiadającego się do biesiadnego stołu, mimo że nikt go nie zaprosił. Rzeczywiście, właśnie we Francji specjalnie trudno było znaleźć dla siebie miejsce przy stole, do którego raczono wcześniej zaprosić Debussy'ego, Ravela, Dukasa, Roussela, nie mówiąc już o Strawińskim. Cóż pozostawało takiemu nie proszonemu? — Tylko jedno: zwracać na siebie uwagę czym się dało, byle prędko i skutecznie — ujmującym, lub wręcz szokującym sposobem bycia, odzwyczajkami w miarę podniosłymi i w miarę trywialnymi, zachwycającymi jednych, oburzającymi drugich, często podsłuchanymi i serwowanymi zreżymie jako własne.

Wszystko to odnajdujemy w „**Joannie**”, wykonywanej u nas zresztą już kilkakrotnie. Temat historyczny, znany: bohaterska dziewczyna, porywając lud do walki, ratuje ojczyznę, by naraższy się „uczonym teologom i politykom” — jak mówi tekst samego Paula Claudela (tłumaczenie: **Maria Serga**), zanim „spadną im głowy z mitrami i lisie kaptury” i „zatriumfuje Bóg”, spłonąć na stosie jako skazana wyrokiem królewskiego sądu czarownica. I jak tu nie oburzać się i nie wzruszać? Kompozytor zresztą reżyseruje to zreżymie, mobilizując cały arsenał środków, którymi — trze-

ba przyznać — włada po mistrzowsku.

Czyż nie wzruszyłibyśmy się widokiem jeleniątka, odrywanego siłą od pani jeleniowej przy wodopoju? Niebożátko skubie sobie trawkę (taką ładną — bardzo zieloną), a wśród niej kwiatki (takie bardzo czerwone). Aż tu nagle brzydcy chłopcy (i dziewczynki też!) wypadają z krzykiem: złać, związać, zabić!

Gdy **Zofia Kucówna** z właściwą sobie kulturą nie przerysowująca ani przez chwilę recytacji **Joanny** wołała, że czuje się na stosie „sama, sama!”, nie mogli nie wzruszyć się i sceptycy, mimo że przy każdym wykonaniu oratorium Honeggera wciąż zadają sobie pytanie: więc to (!) potrafiło zwycięsko konkurować z „**Symfonią psalmów**” Strawińskiego, trylogią „**Trionfi**” **Orffa** czy „**Stabat Mater**” **Szymanowskiego**?

„**W Joannie na stosie**” Honeggera nie brak pomysłów fascynujących (choćby ów sygnał trąbek poprzedzający odzywkę sądu). Jest trochę dobrych chwil, w sumie jednak za dużo banału i tanizmy.

Honeggera można było w pewnym okresie uważać za komiwojażera nowej muzyki; pisał pod publikę, a ta z zachwytem pochlebiała sobie, że tę „nowoczesność” tak łatwo przyswaja. Jak ze wspomnianej książki jednak wynika, Honegger zdawał sobie z tego chyba sprawę gdy popadał w zadumę. Częściej jednak, już bez żadnego zażenowania, zasiadał do suto zastawionego stołu. I to jako z całym dostojeństwem zapraszany...

HENRYK SWOLKIEN